

Był w czasie I wojny światowej żołnierzem 1 pułku legionów, a potem emisariuszem Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego. Nazywał się Juliusz Górecki. Policja krakowska w zaborze austriackim zaareztowała go i oskarżyła o podburzanie przemówienie wygłoszone 17 stycznia 1918 roku do ludności zebranej podczas rozruchów głodowych, u stóp pomnika Adama Mickiewicza, a parę dni później pod pomnikiem Władysława Jagiełły. Przyznał się do obu przemówień. Przekonany o swej słuszności oświadczył, że właśnie rewolucja rosyjska pierwsza i bez zastrzeżeń uznała prawo narodu polskiego do wolności i zażądała, by okupanci opuścili ziemie polskie. W notatkach, które miał przy sobie, znalazł ten fragment:

„Rewolucja Lenina to nasza tęsknota (...) Echo jej w każdym narodzie odezwąć się musi. Dziś nie od rządów lud się spodziewa pokoju i chleba, a uświadomić sobie musi, że wyzwolenie jego z własnych rąk je go idzie”.

Ten niezbyt znaczący i drobny epizod wydarzeń towarzyszących Wielkiemu Październikowi, epizod, który się rozegrał daleko od rewolucyjnych centrów Rosji, daje pewne wyobrażenie o nastrojach panujących w ówczesnych wójtach, wśród coraz szerszych mas patriotów polskich. Stanowisko bowiem rządu młodej Rosji Radzieckiej w sprawie Polski — dodajmy: stanowisko dyktowane różnymi poglądami — różniło się od poglądów głoszonych przez rządy państw imperialistycznych a głównie Niemiec i Austrii — musiało wywrzeć wpływ na postawę polskich mas pracujących. Musiało wyzwolić w nich falę strajków i demonstracji wyrażających solidarność z rewolucyjną Rosją. Musiało wreszcie wywołać w masach żądania wyzwoleń. Nastroje te trafiały nawet do tych grup inteligencji, które zbliżone były do legionów i POW. Nota bene, niektórzy członkowie POW, a zwłaszcza legionów, nie dość zorientowani w politycznych konfiguracjach, mniemali, że są to organizacje postępowe i demokratyczne. Wyzwolenie-rewolucyjne nastroje szerzyły się nie tylko na ziemiach Kongresówki, ale i na innych obszarach ziem polskich. W Wielkopolsce wybuchły w końcu 1918 roku bohaterskim i zwycięskim zrywem Powstania.

Na czym jednak polegała odmienność stanowiska rządu radzieckiego w sprawie polskiej od stanowisk innych rządów? Dlaczego właśnie stanowisko radzieckich komunistów wywarło aż taki wpływ na nastroje panujące wśród narodu polskiego a potem na uzyskanie przez nas w 1918 roku niepodległości?

Sięgnijmy do historii. W rosyjskich postępowych ruchach politycznych od dekabrystów począwszy, sprawa polska spotykała się z sympatią i poparciem. Ale dopiero w

1902 roku na II Zjeździe SDPRR ustalono główne elementy stanowiska bolszewików w kwestii narodowościowej, w której sprawa polska zajmowała szczególne miejsce. Fakt, że właśnie w carskiej Rosji, która uchodziła przecież za największego żandarma Europy, powstała partia z takim programem, miał bardzo istotne znaczenie dla ciemionych przez carat narodów. Przypomnijmy, że Lenin nawet polskich działa czy ruchu robotniczego musiał przekonywać w polemice o słuszności za sady samookreślenia narodowego. Twierdził on, że zadaniem socjaldemokracji Rosji jest „w szczególności bezlitosna i bezwzględna walka z wielkorosyjskim i carsko-monarchistycznym szowinizmem”.

Ileż bolszewicy musieli potem, w czasie II wojny światowej, wykazać nie tylko mądrości i dalekowzroczności politycznej, ale i odwagi, żeby stawiać na klęskę rządu i wojsk własnego kraju. Takiego hasła nie wysunęła wówczas żadna inna partia. Ba, socjaldemokracja niemiecka w pierwszej fazie wojny poparła na wet swój rząd! Bolszewików okrzyknięto w Rosji „zdrajcami własnego kraju”.

Koncepcje wysuwane przez rządy

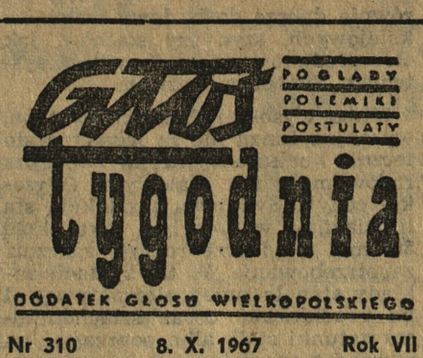
Marian Flejsierowicz

Zanim Polska odzyskała niepodległość

w Petersburgu z jednej strony i Wiedniu oraz Berlinie z drugiej — miały na celu tylko i wyłącznie wygranę przetargu o polskie mięso armatnie.

Dopiero po obaleniu caratu w Rosji sytuacja Polski na arenie między narodowej zmieniła się radykalnie. Jeszcze w okresie dwuwładzy sprawowanej przez Rząd Tymczasowy i Rady Robotnicze i Żołnierskie, 14 marca 1917 Piotrogadzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich uchwalała oświadczenie do narodu polskiego, w którym m. in. oświadczyła, że „demokracja w Rosji stoi na stanowisku uznania samookreślenia politycznego narodów i uznania, że Polska ma prawo do całkowitej niepodległości”. Krótko potem, 29 kwietnia, na VII ogólnorosyjskiej Konferencji SDPRR(b) uchwalono rezolucję. Głosiła ona: *Wszystkim narodom wchodzącym w skład Rosji należy przyznać prawo swobodnego oderwania się i utworzenia samodzielnego państwa. Negowanie tego prawa (...) jest równoznaczne z popieraniem polityki zaborów lub aneksji. Lenin, przemawiając na tej konferencji, skrytykował tych, którzy stali na stanowisku odstąpienia od uznania prawa oderwania się Finlandii i Polski od Rosji.*

Kiedy do władzy doszli bolszewicy, pierwszym dekretem rządu radzieckiego było „Oświadczenie do ludów



i narodów wszystkich krajów wojujących”, które przyznało wszystkim narodom i rządowi uczestniczącym w wojnie prawo do zawarcia pokoju bez aneksji i kontrybucji. Także Deklaracja Praw Narodów Rosji (mająca w pewnym sensie charakter dokumentu konstytucyjnego) opublikowana 17 listopada 1917 r. potępiła zaborczą politykę caratu oraz proklamowała całkowite uznanie suwerenności narodów byłego imperium carskiego aż do oderwania. Z kolei 28 listopada 1917 r. rząd radziecki wydał dekret, którym powołał do życia Komisariat do spraw Polski, powierzając w ten sposób Polakom opiekę nad Polakami znajdującymi się w Rosji. Zaś w styczniu 1918 roku — ukazał się dekret o opiece nad zabytkami przeszłości i sztuki należącymi do narodu polskiego zapowiadający zwrot tych zabytków Polsce. Ukoronowaniem idei przewodniej poprzednich orędzi, deklaracji i aktów stał się dekret z 29 sierpnia 1918 roku.

Wszystkie traktaty i akty — czytamy w nim — zawarte przez rząd b. Caratu Rosyjskiego z rządami Królestwa Prus i Cesarstwa Austro-Węgierskiego dotyczące rozbiorów Polski zostają, ze względu na ich sprzeczność z zasadą samookreślenia narodów i rewolucyjnym poczuciem prawnym narodu rosyjskiego, który uznał niezaprzeczalne prawo narodu polskiego do niepodległości i jednności, zniesione niniejszym w sposób nieodwołalny”.

Akty te musiały wpłynąć nie tylko na postawę wszystkich postępowych sił narodu polskiego i na wywołanie postępowych nastrojów w społeczeństwie polskim. Musiały też wpłynąć na ustosunkowanie się całej Europy do sprawy niepodległości Polski. Obalenie caratu i zwycięska rewolucja socjalistyczna w Rosji wpłynęły — i to jest czynnik bardzo istotny — na rzeczywiste „umiedzynarodowienie się” sprawy polskiej. Te wszystkie dokumenty partii bolszewickiej, przepełnione duchem leninizmu, w kwestii narodowościowej, potem te liczne akty władzy radzieckiej sprawiły, że od marca 1917 r. sprawa polska przestała być — jak tego chcieli rządzący koła Ententy

Dokończenie na str. 2

Feliks Biłos

Hasło: ZBOŻE

Wyliczenia ekonomistów stawiają sprawę jasno: w roku 1970 do magazynów państwowych musi trafić 6,5—7 milionów ton ziarna. Tyle właśnie potrzeba, aby miasto i wieś przez wszystkie miesiące w roku miały dość pieczywa, maki, makaronów. Sam przemysł paszowy pochłonią musi około 2 miliony ton, jeśli mamy mówić o dostatku mleka, mięsa, jaj, masła, drobiu.

W latach 1961—65 kupiliśmy za granicą 13,4 miliona ton zbóż i — jak wiadomo — kupujemy je jeszcze nadal. Wynika to głównie z faktu, że szybkiemu rozwojowi produkcji zwierzęcej (między innymi dewizowy eksport mięsa), nie odpowiada podobna, czy choćby zbliżona dynamika wzrostu pól pszenicy, żyta, jęczmienia czy owsa. W ostatnim np. piętnastoletnim pogłowiu trzody wzrosło aż o 128 procent, a plony zbóż w tym samym czasie podniosły się zaledwie o 37,5 procent.

W ostatecznym rachunku nasz bilans zbożowy jest więc wciąż ujemny. Nawet Wielkopolska, której udział w krajowym wskaźniku wzrostu pól jest przecież niemały, tkwiła w deficycie zbożowym aż do końca 1965 roku. Oznacza to, że w ciągu wielu lat przyrost zbiorów zboża w całości przeznaczony był na karmę dla zwierząt hodowlanych. Zboże, to bowiem nie tylko bułka na śniadanie, chleb czy placek. To w gruncie rzeczy fundament całej produkcji zwierzęcej.

IV Zjazd partii likwidację importu zbóż podniósł do rangi jednego z najważniejszych zadań gospodarczych i politycznych. Problem ten przewijał się również w czasie obrad ostatniego IX Plenum KC. Dwa są po temu powody: pierwszy — zboże jest drogie. Trzeba za nie płacić po 60—70 dolarów za tonę oraz fracht. Drugi — zboże jest towarem wolnodelizyjnym, często nawet cenniejszym od złota dla tych, którzy muszą je kupić. Kraj posiadający nadmiar zboża w sytuacji, kiedy większość świata ma go za mało, znajduje się w pozycji uprzywilejowanej, zarówno ekonomicznie, jak i politycznie. Uwolnienie się od importu zboża, co zakładają nasze plany do roku 1970, będzie więc aktem dalszego umocnienia naszej gospodarki. Uwolni nas to bowiem z sytuacji, kiedy nawet przy kiepskiej koniunkturze musimy czasem sprzedawać jakiś towar, by zdobyć dewizy na zakupy zboża.

Niejednemu narzuca się tu pytanie: czy trzeba było aż 20 lat, aby

dostarczyć ten tak oczywisty problem? Pytanie to pozornie tylko wydaje się logiczne. Nie przypadkowo przecież „strefy głodu” na mapie świata pokrywają się ze strefami zacofania gospodarczego. I odwrotnie: kraje o najwyższym postawionym rolnictwie są jednocześnie potęgami przemysłowymi. W naszych warunkach, zanim można było wysunąć zadanie pełnej samowystarczalności potrzeb państwa i dostatku produktów spożywczych dla 32 milionowego narodu, z którego połowa utrzymuje się z zawodów pozarolniczych, trzeba było najpierw zbudować nie tylko Nową Hutę, ale także Kędzierzyn, Tarnów, Puław i wiele, wiele innych fabryk, produkujących maszyny i sprzęt rolniczy, nawozy, środki ochrony roślin, wreszcie mieszalnię pasz, suszarnie itd. Za decyzją likwidacji importu zbóż musiał więc stanąć cały arsenał środków materialnych i technicznych, zapewniających lepsze nawożenie, mechanizację, chemiczną walkę z chwastami i szkodnikami roślin, poprawę struktury upraw itp.

Udział Wielkopolski w ogólnonarodowym zadaniu likwidacji importu zbóż określony został na 930 tysięcy ton skupionego zboża w roku 1970. Jest to około dwukrotnie więcej niż wynosił skup w roku ubiegłym. To niełatwe dla naszego rolnictwa zadanie oparte jest na realnych przesłankach. Aby jednak zadanie to zbożem się stało, muszą być spełnione dwa podstawowe warunki: pierwszy, to zwiększenie pól; drugi — o czym nie każdy pamięta — zboże to winno trafić do magazynów państwowych.

Najprostsza droga do podniesienia wydajności pól wiedzie przez właściwe nawożenie mineralne. Rolnicy wielkopolscy wysiewają obecnie 98 kg nawozów sztucznych na 1 hektar. Oczywiście, mowa tu o wskaźniku przeciętnym w skali regionu. Nie brak bowiem gospodarstw legitymujących się dawkami, jakich nie powstydziliby się dobrzy rolnicy duńscy czy holenderscy. Ale niemało jest i takich, którzy wysiewają 20—30 kg na hektar. W ciągu paru najbliższych lat średnia nawożenia mineralnego w naszym województwie ma wzrosnąć do 170 kg. Jak wykazują liczne przykłady nauki i praktyki rolniczej, efektywność kilograma tych nawozów jest w Poznaniu bardzo wysoka, wyrażająca się przyrostem pól o około 9—12 kg ziarna. Równocześnie wiadomo, że interes jest już opłacalny przy zwiększeniu pól o 2—3 kg. Dlatego wysiłek służby rolnej skierowany zostanie na racjonalne rozwinięcie nawozowej ofensywy. Czynione są już masowe doświadczenia z intensywnym nawożeniem zbóż, przewiduje się zbiorowy instruktaż stosowania dawek nawozowych pod odpowiednią ich rodzaj.

Program zbożowy opiera się na założeniu, że cały przyrost ziarna będący wynikiem zorganizowanego działania wielu czynników (materiałowo-finansowych, oświatowych), trafi do rąk państwa. Zbyt długo bowiem pozostawialiśmy zboże w chłopskiej gospodarce jego własnemu losowi. Skarmiano je też w ogromnych ilościach nie zawsze w sposób racjonalny, co wiązało się do niedawna z jego mało opłacalną ceną. Podniesienie cen stało się więc warunkiem wstępnym większego niż przedtem zainteresowania rolników produkcją zboża. Równocześnie szeroko otwarte zostały bramy kontraktacji, która jeśli chodzi o cztery zboża, odgrywała dotychczas znikomą rolę. Wystarczy powiedzieć, że kontraktacja daje dziś krajowi około 12 milionów ton buraków cukrowych, 400 tysięcy ton nasion olejnych, len, konopie, trawy, podczas gdy najpowszechniejsze w Polsce żyto było do niedawna wyłączone z tego przywileju. Najnowsze decyzje zakładają, że w roku 1970 blankiety kontraktacyjne podpisane będą przez rolników na uprawę 2,4 miliona ha zbóż (w Wielkopolsce 338,5 tys. ha) z czego prawie połowę zajmie żyto. Poza atrakcyjnymi cenami (400 zł pszenica, 360 zł jęczmień, 300 zł owses i żyto), umowy dają pierwszeństwo w nabywaniu nawozów, kredytów i prawo zakupów określonych ilości mieszanek paszowych, żeby również inwentarz miał coś z tego dla siebie.

Tak oto, ledwo szkicując problem, przedstawia się możliwość rozwiązania problemu zbożowego, który zyskał ostatnio niezwykle wysoką rangę inwestycyjnych, organizacyjnych i politycznych zabiegów.

PLASTYKA

Sztuka i propaganda



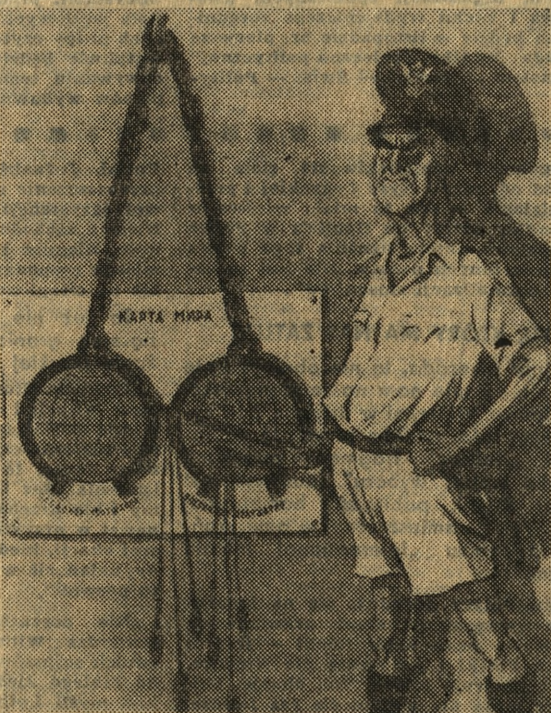
B. M. Leo — REKA „TWÓRCY POKOJU” (gwazdz, tusz)

Radziecka karykatura polityczna narodziła się już w pierwszych dniach rewolucji. Od samego początku była potężną bronią, środkiem masowego oddziaływania na społeczeństwo, sojusznikiem rewolucji. Występowała w rewolucyjnych drukach ulotnych, na plakatach, w słynnych „Oknach Rosty” Majakowskiego, w czasopiśmie i po prostu na murach domów jako najprostszy środek masowej agitacji. Zajmowała określone pozycje ideowe, towarzyszyła ludziom radzieckim później w czasie lat wojny z Niemcami. I może dlatego właśnie, dla swych dawnych zasług cieszy się dziś w Związku Radzieckim takim prestiżem, uznaniem i u artystów, i u odbiorców. Należy pełnowartościowo do świata sztuki, chociaż gdzie indziej, zwłaszcza na Zachodzie, daje się jej przeciwieństwo rolę podrzędną. Słusznie więc zdecydowało się Muzeum Narodowe w Poznaniu pokazać w dniach jubileuszu zwycięstwa Października właśnie radziecką karykaturę polityczną, tę dyscyplinę plastyczną, która najbardziej spletała się z polityką i ma dziś tradycje sięgające wprost tamtego Października.

Karykatura polityczna leży na pograniczu sztuki i propagandy, polityki. W pracach eksponowanych na poznańskiej wystawie znajduje się ona może nawet bliżej propagandy i polityki niż samej sztuki. Radziecka karykatura jest bowiem tak jak i dawniej przede wszystkim orężem ideowej agitacji. Jest pryncypialna, ostra, walcząca. Nie wyrasta ona ze spraw malarskich, estetycznych, unika aluzyjności punkt tak charakterystycznych np. dla polskiej sztuki. Łatwiej jest więc oceniać ją z punktu widzenia funkcji i sprawności warsztatu niż zbieżności z malarstwem.

Wystawa prezentuje w zasadzie tylko pewien wycinek radzieckiej karykatury — twórczość rysowników środowiska moskiewskiego związanych z wielonakładowymi tygodnikami ilustrowanymi, z „Krokodilem”, „Ogoniokiem” i kilkoma innymi. Autorzy scenariusza wystawy położyli w niej nacisk na twórczość artystów starszego pokolenia, uwypuklili niektóre aktualne wątki tematyczne: walki z imperializmem, z kolonializmem, z gwałtami w Wietnamie. Spośród prac 21 rysowników największą uwagę zwracają plansze klasyki radzieckiej karykatury lat trzydziestych Dymitra Moora, plansze Kukryniksofów (takie na przykład jak „Ostatnia linia obrony niemiecko-faszystowskiej — Norymberg” lub „Po Genewie”), prace Wiktora Deni i Andrzeja Krylowa. Szkoda jednak, że autorzy opra-

cowania wystawy nie udostępnili nam na niej jeszcze prac wcześniejszych, z pierwszych lat po rewolucji ze złotego okresu radzieckiej sztuki rewolucyjnej, z czasów burzliwych narodzin nowoczesności w karykaturze i plakacie. Prace z lat powojennych są bo-



M. M. Abramow — „MARZENIA KOLONIZATORA” (akwarela, tusz)

wiem właśnie w Polsce stosunkowo najlepiej znane z radzieckiej prasy. Oczywiście czymś zupełnie innym, wyjątkowym, jest możliwość poznania ich w oryginale, jaką stwarza nam obecnie wystawa zorganizowana w Poznaniu przez Muzeum Sztuk Plastycznych im. Puszkina z Moskwy.

O. B.

LINZ MIASTO STALI

Korespondencja „Głosu”
z Austrii

Linz podobny jest swym wyglądem do wielu polskich miast. Barokowe wieże kościołów nad miastem z wielkimi piecami, stare secesyjne domy, z nowymi wysokociśniami, asfaltowe pasma autostrad z odwieczną wstęgą Dunaju — wszystko to składa się na obraz tego 200-tysięcznego miasta położonego u skraju Alp. Ale podobieństwa dostrzec można nie tylko w zewnętrznym wyglądzie tego uprzemysłowionego ośrodka: w jego południowo-wschodniej części mieści się jeden z największych w Austrii zakładów koncernu stalowego — VÖEST. Sąsiedztwo to oddziaływało na rozwój Linzu, spełnia w jego życiu rolę niewielej takiej samej, jak dla Krakowa Nowa Huta czy Zakłady Cegielskiego w Poznaniu.

Metamorfoza miasta rozpoczęła się wkrótce po drugiej wojnie wraz z nowym etapem jego industrializacji. Powstały nowoczesne osiedla mieszkaniowe wyposażone w kompleksowe urządzenia komunalne, szkoły, rejonowe rekreacyjne itp. Wybudowano wielki port przeładunkowy, który wysunął się na czoło austriackich portów naddunajskich. Trzeba było także rozbudować sieć dróg. Zatem i w tej dziedzinie przystąpiono do zakrojonego na szeroką skalę planu modernizacji, przewidującego obok usprawnienia przelotowości wszystkich arterii komunikacyjnych, także budowę nowej, 4-strumieniowej autostrady spinającej be-tonową obręczą najbardziej oddalone od siebie punkty miasta.

Swoją obecną kształt miasto zawdzięcza więc przede wszystkim zmianom strukturalnym, jakie nastąpiły tu pod wpływem rozwoju uprzemysłowienia. Wzrost zapotrzebowania na siłę roboczą przyczynił się do podwojenia liczby jego mieszkańców. Większość zatrudnionych jest — rzecz jasna — w stalowniach i odlewniach VÖEST. Pracuje tu około 20 000 robotników i inżynierów, co po uzupełnieniu tej liczby rodzinami zatrudnionych tu osób, daje około

szóstą część ogółu mieszkańców Linzu.

Stajemy przed „fabryczną bramą, nad którą dawny napis „Hermann-Goering werke” zastąpiła po wojnie właściwa nazwa tego zakładu: „Vereinigte Österreichische Eisen- und Stahlwerke AG” (VÖEST). Koncern zagarnięty w czasie okupacji przez hitlerowców, produkował m. in. pancernie korpusy do niemieckich „tygrysów”, oraz inne urządzenia i materiały zbrojeniowe. Całkowicie zniszczoną przez Niemców fabrykę trzeba było po wojnie zdźwignąć od podstaw. Obecnie VÖEST to przede wszystkim: wielkie piece, budowa zakładów przemysłowych, obróbka uszlachetniająca, konstrukcje stalowe, maszyny i karoserie. Wyroby z Linzu słyną z jakości i stanowią około 14 proc. globalnego eksportu Austrii.

Oglądaliśmy tylko produkcję rur bez szwu ze stali szlachetnej. Okrągły blok nagrzewa się równomiernie w piecu o temperaturze około 600 stop. C. Następnie formuje się go i wytłacza przy pomocy 3-tonowej prasy. Wszystko to odbywa się mechanicznie niemal bez udziału ludzkich rąk. Odnosi się zresztą w tej fabryce wrażenie, iż robotników jest niewiele. Ich zadaniem jest głównie pilnowanie automatów. Wszystkie procesy produkcyjne są zautomatyzowane w 70 procentach. Całe prawie maszynowe wyposażenie zakładów pochodzi z austriackich wytwórni. Automatyzacja w ciężkich gałęziach austriackiego przemysłu jest zresztą tzw. życiową koniecznością. Sam VÖEST na przykład już jutro mógłby zatrudnić dodatkowo około 2 000 ludzi. Ludzi tych po prostu nie ma ani w Linzu, ani w innych miejscowościach Austrii. Stąd również niskie tempo wzrostu inwestycji przemysłowych, oceniane w całej Austrii jako niedostateczne. Częściowo ten deficyt w zatrudnieniu pokrywa się werbuując do pracy robotników obcokrajowców (w samym przemyśle zatrudnionych jest około 23 000 cudzoziemców), ale praktyka ta ma także swoje niekorzystne dla Austrii strony; powoduje stały odpływ środków pieniężnych z kraju, który nie tak dawno jeszcze temu przewyciężył poważną groźbę inflacji. Nie pokrywa to jednak w pełni zapotrzebowania; według najnowszych danych austriackiego Biura Statystycznego liczbę wolnych miejsc pracy dla sił wykwalifikowanych określa się na około 4—5 000. (Na 600 000 osób zgromadzonych w 20 związkach zawodowych austriackiego przemysłu).

Do najbardziej interesujących osiągnięć zakładów w Linzu należy opracowany tu nowoczesny sposób wyrobu stali według metody L-D (Linz-Donawitz). Wytworzona tą metodą stal, tzw. dmuchana, nadaje się

równie dobrze do budowy wagonów kolejowych, szyn czy statków, jak stal produkowana tradycyjnym systemem Siemens-Martina.

Mimo wysokiej jakości wytopu, wyroby z Linzu nie są jednak dostatecznie konkurencyjne na międzynarodowym rynku stalowym. (Wysokie ceny). Światowa produkcja stali osiągnęła w ubiegłym roku około 500 mln ton i przekroczyła znacznie zapotrzebowanie. W tej sytuacji zakłady stanęły przed alternatywą; albo produkować coraz szlachetniejsze gatunki stali, albo poprzestać na wyrobach specjalnych lub gotowych. Przeważała na razie ta ostatnia koncepcja. Wytwarzane tu stale specjalne dla zakładów atomowych, posiadają szczególne fizyczne właściwości. Spotkały się one z wysoką oceną ekspertów IAEA (Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej); zastosowano je m. in. przy budowie reaktora atomowego OECD — DRAGON w Anglii. Niektóre urządzenia z VÖEST trafiają także do Polski. (M. in. prasy hydrauliczne dla zakładów w Nysie).

Austria jest w ogóle jednym z pierwszych krajów zachodnich, z którym Polska nawiązała po wojnie stosunki handlowe. Już w 1945 r. do konano bodaj pierwszych transakcji. Obecnie oba kraje obowiązują 5-letni protokół handlowy, zawierający klauzulę automatycznego przedłużenia. Wzajemne obroty przekraczają 100 mln dolarów i mają tendencję wzrostową.

Opuszczamy VÖEST kierując się w drogę powrotną do Wiednia. Mija my ożywione arterie komunikacyjne, przyglądamy się nowoczesnym budowlom i wypielegnowanym zieleńcom Linzu. Czując pulsujące życie tego miasta, trudno doprawdy wyobrazić sobie, iż było ono jednym z najbardziej zniszczonych w Austrii w czasie wojny.

• Zjednoczone Austriackie Zakłady Żelaza i Stali.

Zanim Polska odzyskała niepodległość

Dokończenie ze str. 1

— „Wewnętrzna sprawa rosyjska”. Tak to przebieg wydarzeń potwierdził słowa Lenina: „Wolność Polski jest niemożliwa bez wolności Rosji”. Rewolucja w Rosji przyczyniła się też do wzniecenia fali rewolucyjnej na Węgrzech i w Austrii, do rozpadu monarchii Austro-Węgierskiej; przyczyniła się do wytworzenia rewolucyjnych i antywojennych nastrojów w Niemczech. Te fakty z kolei też wywarły wpływ na uzyskanie przez Polskę niepodległości.

MARIAN FLEJSIEROWICZ

Dekada książki społeczno-politycznej

Imprezy majowych Dni Oświaty, Książki i Prasy, liczne akcje księgarstwa i bibliotek oraz dyskusje na zebraniach organizacji społecznych i Komitetów Wojewódzkich Partii w kilku regionach kraju, wykazały, że nie tylko zainteresowanie czytających książką polityczną jest duże, ale że mnożą się również poważne postulaty pod adresem autorów i wydawców.

Z inicjatywy terenowych instancji partyjnych, organizacji społecznych, księgarstwa i ruchu wydawniczego zorganizowana będzie w listopadzie br. pierwsza „Dekada książki społeczno-politycznej” pod hasłem „Człowiek — Świat — Polityka”.

Ustalono, że „Dekada” odbędzie się w dniach 20—30 listopada br. Jej zadaniem jest prezentacja dorobku wydawniczego w tym zakresie, ożywienie ruchu umysłowego dokoła tej literatury o dużym wachlarzu tematycznym, stworzenie ram dla aktywności czytelników. Jednym z głównych elementów Dekady, zarówno w środowiskach miejskich jak i wiejskich, będą spotkania czytelników z autorami książek i wydawcami, politykami i publicystami, pisarzami oraz dyskusje dokoła węzłowych i szczególnie interesujących grupy czytelników zagadnień, co niewątpliwie będzie pożyteczne przy opracowywaniu tematycznych i autorskich planów wydawniczych. (PAP)

do legalnego zamieszkiwania ziem na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej i przeciwdziałanie — jak to miało miejsce w przypadku wizyty de Gaulle'a w Polsce — wszelkim aktom uznania tego prawa ze strony innych państw. Nie jest to bieżąca do normalizacji stosunków”.

KUI, KTÓRY MA NAS ZATLUC

To nie przesada, to nie obsesja i nie urojenie dyktuje nam nasze stanowisko. Oto Janusz Wilhelm w artykule pod cytowanym tutaj tytułem przytacza na łamach „Kultury” fragment publikacji „Polska wobec wyboru” (autorem jest Lothar Ruehl, publicysta hamburskiej „Die Welt”) zamieszczonej w amerykańskim dzienniku „International Herald Tribune”:

„Jeśli Polska decyduje się na ignorowanie wyciągniętej dłoni prawdziwych Niemiec — pisze tenże Ruehl — jest to sprawa Polski i jej strata nie Niemiec. Polska ignoruje historyczną okazję, która być może nie wyłoni się raz jeszcze. Nic nie jest wieczne. Nie ma gwarancji, że Moskwa pewnego dnia nie poczuje się zmuszoną utrzymywaniem garnizonu w Niemczech wschodnich. Wtedy zjednoczenie Niemiec dojdzie do skutku tą czy inną drogą. A Polska nie robiąc nic więcej poza stawianiem przeszkód na drodze tego zjednoczenia sprawi, że Polacy okażą się znówu nieprzyjaciół sąsiadów. Przechodzenie mimo jednej okazji narodowego pojednania z Niemcami leży zapewne w krótkofalowych interesach obecnych przywódców komunistycznych

Polski. Jednakże oznaczać to może za przeproszeniem szansą zapewnienia narodo-wej egzystencji Polski w XXI stuleciu. Niemcy zachodnie, które skupiają 3/4 ludności Niemiec i dysponują wielką dynamiczną gospodarką — mogą pozwolić sobie na cierpliwość”.

To już nie tylko zapowiedź rewizji naszych granic, lecz zarazem podważanie polskiej narodowej egzystencji.

„Powiedział (Ruehl — przyp. lekt.) nam — pisze Wilhelm — wprost: Jeżeli skapitulujemy dzisiaj, to jutro was może doszczętnie nie zniszczymy; jeżeli zdacie się na naszą łaskę, to ocalicie szansę dalszego istnienia. Bez tego jednak nie zapomniemy i nie przebaczymy. Dosięgniemy was nawet w przyszłym stuleciu. Przy pierwszej okazji, kiedy będzie to możliwe, kiedy układ sił w świecie i w Europie na to pozwoli”.

„Nie porzucimy swojej polityki — stwierdza Wilhelm. — Nie zerwiemy swoich sojuszy. Zrobimy wszystko, aby do takiego zjednoczenia Niemiec, o jakim myśli Lothar Ruehl, nigdy nie doszło. W tym właśnie, nie w ewentualnej wspaniałości zachodniomocnej, widzimy gwarancję własnego spokoju, bezpieczeństwa, dalszego istnienia. Pamiętajmy jednak: ten kraj, którym nam się grozi, który ma nas zatłuc, nie jest z papieru”.

BEZ SZMINKI

Ruch recytatorski stał się w naszych warunkach ruchem masowym. Corocznie do ogólnopolskich konkursów recytatorskich staje 150 000 miłośników ży-

Piotr Życki

Smetny żywot reklamy

Gdyby szukać określeń, które zrobiły karierę w ostatnim dwudziestolecu — z pewnością nie można by zaliczyć w ich poczet słowa REKLAMA. Zrobiła za to karierę, wątpliwą zresztą, REKLAMACJA... Stare hasło o dźwigni, którą dla handlu ma być reklama, najpierw znalazło prześladowców, upatrujących w nim relik minionej epoki; a i obecnie, kiedy w życiu gospodarczym liczą się przede wszystkim rzeczowość i ekonomiczny rachunek, reklama pędzi żywot smetny. Pełno natomiast wokół nas przejawów czegoś, co można określić mianem p. o. reklamy. „Dom Dziecka” zaprasza ogłoszeniami i transparentem na „Atrakcyjną sprzedaż z okazji sezonu szkolnego”. Mamy tu do czynienia nie tylko z reklamą miernej jakości, amatorszczyzną bez cienia inwencji; jest to zarazem dezinformacja. Dziecko bowiem gotowe objaśnić kierownictwo „Domu Dziecka”, że atrakcyjna sprzedaż to taka, gdy w grę wchodzi nie tylko więcej towaru, lecz przede wszystkim w wyraźniej zwiększonym wyborze, czymś ponadto okraszona; może to być losowanie paragonów, dodawanie reklamowych drobniaków przy większym zakupie itp.

Ktoś z dyrekcji przedsiębiorstw handlowych obdarzony sporym poczuciem humoru, przywrócił do łask określenie KIERMASZ. Tylko patrzeć, jak przed grudniowymi świętami doczekamy się — wzorem dobrze z ulic miasta znanym — napisów: „Kiermaszowa sprzedaż zabawek”. Kto sensownie objaśni, czym niby ta forma handlu różni się od codziennej? Szyldem? Są zresztą liczne inne kiermasze; mieliśmy dopiero co — szkolne, przedtem — turystyczne, a sprowadzały się one do oferowania klientom jeśli nie bubli (bo i tak bywało), to po prostu zwiększonej ilości artykułów, normalnie i bez tłoku dostępnych w każdym sklepie.

Mamy też przejawy reklamy in teligentnie — zdawałoby się — redagowanej, wszakże odrealnionej. „Jedź słoneczne śliwki!” — wzywa na łamach prasy Centrala Spółdzielni Ogrodniczych. To nawet ładnie brzmi. Tylko co to znaczy słoneczne śliwki?

Oglądałem onegdaj na wystawie jednego ze specjalistycznych sklepów — kolekcję zegarków na ręcznych produkcjach NRD z mechanizmem napędzanym elektrycznie. Zegarki prezentują się bardzo estetycznie, cena — jak dla nowości na naszym rynku — u-miarkowana, ale... Za wystawową sztybą próżno by szukać jakiegokolwiek elementu reklamy.

— Jakież są ich walory? — medytuje potencjalny nabywca. — Czy są lepsze od zwyczajnie nakręcanych? A może trudno do nich o baterijki? Nikt bowiem nie upadł na myśl napisania chociażby: „tego zegarka nie potrzeba nakręcać — odpada problem

sprężyny — baterijki po ileś groszy (złoty) zawsze na składzie — bądź nowoczesny, noś zegarek elektryczny”. Nic z tych rzeczy.

I oto problem kolejny: brak rzeczowej reklamy bywa antyreklamą. Bo rodzi obiekcje w rodzaju: nie napisano nic, być może dlatego, że nie ma czego chwalić.

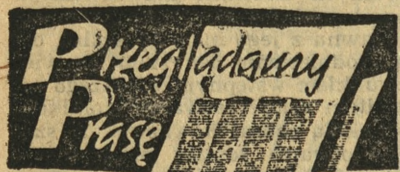
I, żeby nie być gołosłownym, dwa przykłady: papryka oraz „W-6”. Z papryką rzecz zakrawa na skandal. Polski klient, na Węgrzech nie bywał, nastawiony jest wobec niej en masse nieufnie; nabywa jej — poza największymi ośrodkami miejskimi — nie wiele. Nabywa niewiele, więc też kierownicy sklepów nie zamawiają jej chętnie, przeto w wielu przybytkach handlu papryki nie ma. Ale przeprowadzić — choćby jedną jedyną, lecz rzetelną — akcję reklamową, dla dobra Merkurego i zdrowia klienta, to rzecz widać ponad możliwości handlu. A przecież papryka zawiera wyjątkowo bogactwo witamin, jest tania, można przystąpić do niej na różne sposoby.

„W-6” to wielowarstwowy sok rodem z Milejowa, o wiele smaczniejszy (i wartościowszy) od pomidorowego. Spróbujcie go znaleźć w sklepach! To drugi przykład „kładzenia” przez handel znakiem towarowym. Vide wyżej: klient nie kupuje, bo brak reklamy, a jak klient nie kupuje, to handel mało zamawia, mało zamówienia ograniczają produkcję, w związku z czym do sklepów dociera soku „W-6” niewiele, etc.

Łatwo też o przykłady smetnej twórczości w reklamie przydrożnej. Pisałem niedawno o trasie, wiodącej do Świecka, obstawionej dekoracjami budzącymi wątpliwości co do kolorystyki, sensu skrojonych tam drobnym piśmem tekstów i treści („Kupuj na sze farby okrętowe Oliva” — tak żegna polską drogą E-8 turystę, opuszczającego nasze granice).

A przecież minąłbym się z prawdą, gdybym nie dostrzegł przykładów — co prawda nielicznych — znakomitej reklamowej roboty. Przede wszystkim skuteczna kampania, przeprowadzona dla spopularyzowania kawy „Marago”; efekty są widoczne: wytwórca zwiększył kilkakrotnie produkcję... To samo dotyczy środka do prania IXI. Ale już częstochowska fabryka wiecznych piór i długopisów, narzekająca ponoć na słaby zbyt, nie potrafiła się zdobyć na próbę przekonania potencjalnych klientów o walorach swych ponoć bardzo dobrych wyrobów. Czy tylko ona?

Można kruszyć kopie o to, na ile słusze w zmienionych warunkach jest znane porzekadło o reklamie — dźwigni handlu. Ale nie można ignorować nowej, społecznej roli, jaką reklama ma w naszym ustroju do spełnienia. Nie obawiamy się reklamy; obawiamy się złej reklamy, braku reklamy, antyreklamy...



Rewizjonści zachodniomocni utyskują na rzekomą tendencję naszej oceny stanowiska NRF wobec sprawy stosunków z Polską, starając się stworzyć wrażenie, że politycy niemieccy, a także przesiedleńcy, są zainteresowani w normalizacji stosunków z narodem polskim. Takie stanowisko zajęł ostatnio m. in. minister do spraw przesiedleńców w rządzie NRF K. U. von Hasel. Polemikę z tym stanowiskiem podejmuje Jan Czerwinski na łamach „Prawa i Życia” w artykule „Ich „argumenty”. Podsumowując swoje rozważania, Czerwinski pisze:

„Dla nas obraz proponowanego przez NRF „pojednania” jest jasny: z jednej strony wspaniałomyślnie przyznawanie prawa narodu polskiego do życia w zabezpieczonych granicach (jak to uczynił kanclerz Kiesinger w deklaracji z 13 grudnia ub. roku), z drugiej natomiast strony — przypominanie starego stanowiska NRF negującego prawo naszego narodu